

Podporucznik Walter Raiwa - wieloletni członek Beskidzkiego Stowarzyszenia Maczkowców, żołnierz 8. batalionu strzelców "Krwawych Koszul". Przymusowo wcielony został do Wehrmachtu. Walczył na froncie wschodnim, a po wycofaniu jego jednostki z Rosji trafił do Włoch, gdzie zbiegł i dostał się do amerykańskiej niewoli. Wstąpił ochotniczo do PSZ. Służył w 4. kompanii strzeleckiej 8. batalionu strzelców. Przeszedł cały szlak bojowy z Dywizją. Zmarł w 2010 roku.



Walter Raiwa

Moje życie -wspomnienia

Gdy wybuchła wojna w 1939r. zacząłem pracować na kopalni Bielszowice. Miałem 18 lat, a już pracowałem na dole. 2 VII 1941 powołano mnie do Arbeitdinst, to jest taka „służba z łopatami”. Do Flenenburga. Stamtąd byliśmy wysyłani do zasypywania lejów po nalotach bombowych. Wróciłem do domu 10.10.1941r. i znów pracowałem na kopalni Bielszowice do 16.01.1942r. Potem powołano mnie do wojska niemieckiego do Franrzej Kolmar. W marcu 1942r. już pojechałem na front do Rosji Smoleńsk- Wjasma, byłem tam do 10.08.1943r. i zostałem zwolniony jako pracownik kopalniany, ponieważ brakowało górników. Ale długo się nie zagrzałem, bo znów powołano mnie do wojska do Koźła. 23.03.1943 r. z Koźła wyjechałem

do Włoch, byłem w Mestre koło Wenecji. W październiku otrzymałem urlop - 14 dni. Po urlopie, gdy wróciłem do jednostki, moja kompania już wyjechała na front do Cassino. I tam znów na Froneje – Laguna, góra naprzeciwko Monte Cassino. Tam na froncie byłem do 4.12.1943 r. i uciekłem wraz z kolegą z Rudy Śląskiej do Amerykanów.

(Ale najważniejsze – jak byłem w Koźlu, to każdą sobotę chodziłem do domu na dobry łobiod. I to piechotą do Gliwic. To wówczas w ostatnią niedzielę 29.05.1943 r. poznałem Luci. Ona myślała, że ma nowego kawalera, a tu nic z tego. Bo w poniedziałek już był wyjazd do Włoch. Tylko listownie się kontaktowaliśmy aż do października 1943 r. Na urlopie to się zaręczaliśmy. Od tego czasu po tym urlopie przez dwa i pół roku nie miała żadnej wiadomości, niw wiedziała, gdzie jestem).

W niewoli u Amerykanów byłem tylko do 21.12. Tam tych, co byli ze Śląska, Pomorza werbowali do Wojska Polskiego i byliśmy już osobno oddzielani od Niemców. Mogliśmy chodzić między Amerykanami. I brali nas do pracy beczki kulać z benzyną. Nawet dali nam możliwość zwiedzenia wulkanu Wezuwiusz. Potem wywieziono nas do Neapolu na statek i płynęliśmy do Afryki. 31.12 byliśmy już w Afryce. Tam z Bizerty jechaliśmy pociągiem do Algieru. W Corso dali nam już angielskie mundury i byliśmy na wolności, płacono nam na dzień 25 franków. Później załadowano nas na okręt (Sydney – fajny, pasażerski). Wy płynęliśmy do Anglii. Przez 14 dni płynęliśmy aż do Liverpoolu. W Anglii Galaschis już byłem w 1-szej Dywizji Pancerniej 8 batalion 4 kompania. Tam tylko było zapoznanie się z bronią angielską. W międzyczasie odbyło spotkanie z Montgomerym w Glasgow. Z Galaschis wyjazd do Malton. Tam byliśmy rozlokowani na prywatnych kwaterach drużynami. Tu robiłem prawo jazdy na samochody i kursy na krótkofalówki. Mieliśmy rowery, to robiliśmy wycieczki. A samochodami zwiedzaliśmy miasta w Anglii. Co mnie zaciekało, jak jechaliśmy drogami, to na poboczach szos poukładane były na stosach bomby, różne pociski artyleryjskie, a na polach całe parkingi czołgów, samochodów, z tych samolotów bombowych – Fortece, Liberatory, Lancastery, same czterosilnikowe. Pod koniec lipca 1944 r. wyjechaliśmy do Londynu. Z Londynu przewieźli nas do Chesterfield, a tu już były duże koszary, tam już było zgrupowanie, uzupełnianie ekwipunku, amunicji i potrzebnego ekwiwalentu. 5.08 1944 r. to już wyjazd do Londynu i załadowanie na statki. I wyjazd do Francji. 8.08.1944 r. wczesnym rankiem byliśmy pod Caen, tam było lądowanie, a nad nami masa bombowców. Bombardowanie brzegów. I już byliśmy na ziemi francuskiej, tak znów zaczęła się dla mnie wojna, to już trzeci front. Włosy dęba stały, jak się znów widziało trupy. I tak dzień za dniem z myślą, czy dożyję do rana. Najgorzej było, jak szliśmy do natarcia, a wróg stawiał duży opór, to nie ruszyliśmy dalej, wzywało się lotnictwo, by bombardowali stanowiska nieprzyjacielskie. Po nalocie dalej naprzód, my grupami na czołgach (Sherman), był duży opór, to z czołgów zeskok i do natarcia (tak to jest, my strzelamy, a Pan Bóg kule nosi) i na odwrót. Tak zdobyliśmy Caen, dalej na Chambois – Falaise i wzgórze 262, tam zostaliśmy okrążeni przez Niemców. I tak spędziliśmy parę dni w kotle bez picia, bez jedzenia. Aż nas wyswobodzili Kanadyjczycy. Co za widok, jak dalej szosą maszerowaliśmy, wszędzie pełno rozbitych samochodów, czołgów a trupów pełno, a my dalej i dalej. I tak po 20.08. ruszyliśmy dalej na Mont – Ormel. Tam już tak nie było groźnie, ale kompania była w spoczynku, a dali nas koło ciężkiej artylerii i nie mogliśmy spokojnie spać, bo huk armat nas budził, nie pomagały do uszów takie wkładki. To my się fantli i dali nas gdzie indziej na 7 dni, to był spokój. Początkiem września już byliśmy pod Abbeville, tak zdobywaliśmy wyrzutnie V-1. Jaki to był widok, jak już tam dotarliśmy. Te V-1 były wystrzeliwane przez Niemców, to niektóre leciały w stronę Niemiec. Ale jak już dotarliśmy do wyrzutni, to widzieliśmy, jak prosta ona była. Ale mimo tego, wiele ich leciało na Anglię, bo jak byliśmy wówczas pod Londynem 1 lipca 1944r. to widzieliśmy jak lecą nad nami. Po zdobyciu tych wyrzutni znów dalej na St. Omer, tam już było to do zniesienia, nie było wielkiego oporu. Dopiero w Belgii była walka o Ypres. Był rozkaz, by nie używać ciężkiej broni,

by nie zniszczyć miasta. Na przedmieściu Ypres nasza kompania ulokowała się na cmentarzu poległych w I wojnie światowej. Leżeliśmy między tymi mogiłami, a cmentarz był duży. Zdobyliśmy Ypres bez wielkich strat. To był wielki honor dla kompanii i dlatego po walkach zostaliśmy zaproszeni przez mera tego miasta na lampkę wina, tam miałem okazję poznać generała Maczka. Było bardzo miło i znów o wszystkim się zapomniało. Ale od Ypres znów dalej. Dotarliśmy do przedmieścia Gandawy i znów duży opór. Po zdobyciu Gandawy kompania została ulokowana w północnej części miasta. Tam była linia frontu, chodziliśmy na zwiady nocami na tyły niemieckie i obserwowaliśmy, jakie tam są siły i tak kilka dni. Raz zauważyli nas Niemcy i ostrzelali. Jak uciekaliśmy, to jednego z nas raniono, dostał po nogach serią z CKM-u. Ale go przywlekliśmy, co nam się udało. Ranny kolega zastał wywieziony do Anglii i – jak się dowiedzieliśmy – amputowano mu obie stopy.

I znów dalej przez San – Niklas do granicy Holandii. Na granicy belgijsko – holenderskiej w Stekene zostałem ranny 24.11. Jechaliśmy w „trupkarsach”, cały pluton, tam nas ostrzelali Niemcy artylerią, jeden pocisk trafił w samochód, było bardzo dużo rannych, ja dostałem w lewą rękę, wyskoczyłem z wozu, karabin w ręce cały skrwawiony, byłem nieprzytomny i znalazłem się w szpitalu polowym. Jak doszedłem do siebie, to okazało się, że jestem w tej samej szkole, gdzie byłem jako żołnierz niemiecki w 1943 r. Stamtąd wywieziono nas do szpitala w Rouen, we Francji. To były dla mnie miłe dni, czego duszyczka pragnęła, to było. Siostry były bardzo miłe. Mówiłem do nich „sister –cips”, z uśmiechem to przyjmowały. Kiedy zostałem zwolniony ze szpitala, to zaproszono mnie do pani mer miasta Rouen na cały dzień, ale było fajnie! Tam napisałem list do Luci, a pani mer powiedziała, że po wojnie wyśle. Słowa dotrzymała i wysłała, a Luci go dostała. Po zwolnieniu wróciłem do kompanii, ale już w Holandii Baarle Nassau i znów się zaczęła dla mnie wojna. Znów było ciężko, zanim dotarliśmy do przedmieść Bredy – Ginneken. Tam były walki o każdą ulicę. Ale Holenderki były bardzo odważne, bo podawały nam ciepłą herbatę przez żywoploty. I tak doszliśmy do Bredy. Tłumy ludzi nas witały, obrzucali nas kwiatami. Po zdobyciu Bredy kompania ruszyła dalej, w stronę Moerdijk i znów było bojowo, drogi i pola pełne min, trzeba było uważać na każdy krok. I tak za Bredą zginął fajny kolega z drużyny. Połowa drużyny szła szosą, druga zaś torami. I tam na torach „buch”- wybuchła mina i akurat szedł ten kolega, tylko widzieliśmy, jak upadł i zginął. Leży na cmentarzu w Ginneken. A my dalej i dalej...W Moerdijk była ciężka walka o każdą ulicę. Musieliśmy wyganiać Niemców, którzy nie zdążyli przeprawić się przez Moze. Wielki opór był przy zdobywaniu klasztoru, pół dnia trwało, zanim go zdobyliśmy. Do niewoli wzięliśmy około 18 SS-manów, a same młodziaki. Po zdobyciu Moerdijk kompania została wycofana na odpoczynek do Bredy, tam byliśmy w szkole na przedmieściach. Przez dwa tygodnie chodziliśmy po Bredzie, ale już po 20 grudnia znów przyszedł rozkaz na linie, już na wał rzeki Moza. Tam wykopaliśmy w wale bunkier podziemny, a na wale utworzyliśmy stanowisko K-M. Na wale spędziliśmy całą zimę. Ale najlepsze: 24 grudnia pluton został zwolniony z pierwszej linii i udaliśmy się do Winschoten na kolację wigilijną w remizie strażackiej. Nie zdążyliśmy zjeść – ALARM! Niemcy przeszli przez rzekę i zaatakowali. Było paskudnie, zimno, deszcz, a my posuwamy się metr po metrze do wału i tak do nowego roku. Na wale byliśmy aż do marca. Potem ruszyliśmy przez Holandię do Niemiec. Ciężkie było zdobywanie Papenburga. Walki uliczne. Acha, jeszcze jedno: w czasie walk w Holandii dotarliśmy do Renu, ale ciężko było przejść na drugi brzeg. To tam byliśmy świadkami, jak spadochroniarze lądowali, a Niemcy strzelali do nich, jak do kaczek. Nie mogliśmy pomóc. Trudne było zdobycie drugiego brzegu. A było to lądowanie o jeden most za daleko. Walki toczyły się niemal cały kwiecień, dopiero kiedy mieliśmy ruszać na Wilhelmshaven, to było dla nas zbawienie, bo 5 maja 1945 r. Niemcy skapitulowały.... Tak weszliśmy do miasta i portów wojennych bez strzelaniny, rozbieraliśmy w porcie okręty podwodne. Tak skończyła się dla nas wojna. Byliśmy na okupacji Niemiec, kompania obsadziła Aschendorf. Tak było spokojnie, a często jechaliśmy do Bredy, Brukseli.

Do Bredy braliśmy papierosy, czekolady, konserwy w puszkach dla Holendrów. A do Brukseli jechaliśmy po kawę, napić się czegoś i wałęsać się po mieście. A kawę sprzedawaliśmy Niemcom po powrocie, bo dobrze płacili. Przebywałem tam do sierpnia 1946 r. Zgłosiłem wyjazd do Polski. To Anglicy w obozie przejściowym dali nam całe wyposażenie cywilne, od butów po czapki. Przywieźli nas do Legnicy, tam przejęło nas wojsko polskie, a obchodzili się z nami niby z niewolnikami. Wnet by przyszło do bijatyki. Wyglądaliśmy bardzo fajnie w mundurach, a oni jak w łachmanach. Z Legnicy to wyjechaliśmy pociągiem towarowym, tak nas traktowano. I tak właściwie skończyła się dla mnie ta wojna. Przeszedłem trzy fronty: Rosja, Italia i Normandia. Aż do Niemiec. Zawsze na pierwszej linii.

Ale przy piechocie fajnie jest!







Zdjęcia z kroniki szkolnej

Zespołu Szkół Budowlanych im. gen. S. Maczka oraz ze strony:

<http://www.breda.fora.pl/dzialalnosc-beskidzkiego-stowarzyszenia-maczkowcow,30/swieto-wszystkich-swietych-2010,131.html>